

Swiecenia pierwszego Werbisty na Madagaskarze

Autor: Krzysztof Laskowski
27.08.2009.

Moi Drodzy ! Serdecznie Was wszystkich pozdrawiam z chlodnego obecnie Madagaskaru. Co prawda pora deszczowa minela, ale to teraz Madagaskar nawiedzaja chlodne noce, szczegolnie w regionach polozonych juz powyzej 500 m. n.p.m. Ostatnio troche wialo i nawet w naszym domu robilo sie okropnie zimno. No kto by pomyslal, ze trzeba spac w polarze, bo koldry nie ma pod reka ...

Moi Drodzy ! Serdecznie Was wszystkich pozdrawiam z chlodnego obecnie Madagaskaru. Co prawda pora deszczowa minela, ale to teraz Madagaskar nawiedzaja chlodne noce, szczegolnie w regionach polozonych juz powyzej 500 m. n.p.m. Ostatnio troche wialo i nawet w naszym domu robilo sie okropnie zimno. No kto by pomyslal, ze trzeba spac w polarze, bo koldry nie ma pod reka ... Obecnie korzystam z malego oddechu, a to dzieki wydarzeniu w naszej Regii Madagaskar. Wyjechalem z Ambatondrazaka na dobre 2 tygodnie, by uczestniczyc w pierwszych swieceniach Malgasza werbisty. Albert niedawno powrocil z Konga gdzie zakonczyl swoja formacje. Po 20 latach naszej obecności na wyspie to on jest pierwszym, takim bardziej widzialnym i zywym owocem naszej misyjnej działalności. Albert pochodzi z Ihosy, poludniowego regionu wyspy, ale to tu, w diecezji Mananjary poprosil o swiecenia. To tu zaczela sie jego przygoda z SVD okolo dziesiec lat temu. Tak wiec 2 lipca wraz z Louistem ruszyliśmy w strone Mananjary. W pierwszy dzien pokonalismy ogrom drogi (670 km), by dotrzec do Fianarantsoa. Zachaczyliśmy o to miasto, bo moj proboszcz musial wyrobic sobie duplikat prawa jazdy. W naszym domu formacyjnym nie zastalismy prawie nikogo. Seminarzysty wraz z o. Jerrym i Jozefem udali sie juz do Mananjary, by pomoc w przygotowaniach do uroczystosci swiecen kaplanskich. Albert mial byc swiecony wraz z jednym diakonem diecezjalnym. Wypadek W piatek (3 lipca) , jak juz wszystkie papierkowe sprawy dopielismy i juz zasiedlismy do auta, by ruszyc w droge, otrzymalem telefon. Niedaleko od skrzyzowania w kierunku Mananjary, mieli wypadek goscie Alberta, ktorzy zmierzali ze stolicy na jego swiecenia. Albert za duzo nie wiedzial. Poprosil tylko czy moglibysmy tam pojechac i zobaczyc jak sprawy wygladaja. Bylismy najblizej, bo wystarczylo bysmy odbili na powrot w strone stolicy jakies 45 km. Taki telefon, prosba, troche emocji i za chwile podazalismy pospiesznie w poszukiwaniu poszkodowanych. Albert podal namiary miejsca wypadku. Przejechalismy to miejsce i nic poza mala grupka ludzi, zgromadzonej przy drodze. No ale nie zwrocilo to naszej uwagi, gdyz Malgasze to grupkami chodza, a ta zachowywala sie jakby zbierali sie do drogia na targowisko. Pojechalismy pare kilometrow dalej i nic. Zatrzymalismy jedna ciezarowke, zapytanie, czy widzieli jakis wypadek i ... nic. Znalezlismy siec, dzwonimy do Alberta i tez nic. Kontakt z wypadkowiczami sie stracil. Powracamy, bo tylko ta grupka ludzi mi switala w glowie. No a kto, by pomyslal, ze to tam, a auto lezy pare metrow w dol pobocza, w ryzowisku. I tak bylo. Po prostu jadac z przeciwnej strony nie bylismy w stanie zauwazyc auta i nawet ludzi z zandarmerii, ktorzy juz w tym czasie spisywali okolicznosci wypadku. No jak zobaczyliśmy auto i miejsce jego polozenia to troche sie wlos zjezyl. Jak sie okazalo w Pegeot 205 jechalo 7 osob, 5 doroslych i dwojka dzieci. Mozna powiedziec, ze nic nikomu sie nie stalo. Goscie Alberta wyjechali o 1 w nocy, by dotrzec rankiem do Fianarantsoa. Rankiem, okolo 9:30, zapewne wszyscy spali zmeczeni, no i kierowca tez przymknal oko. Po czym zjechal z drogi i stoczyli sie wywracajac auto na bok i tak sturlali sie na suche pole po ryzu. Auto troche sie poobijalo z kazdej strony, poszlo pare szyb i naruszona zostala znacznie przednia konstrukcja (rozbity radiator i chlodnica). Jak Aina (kierowca) zjezdzal z drogi – jakby tego jeszcze bylo malo - potracil lekko jednego przechodnia raniac go w noge. Jechali jednak na swiecenia kaplanskie i tu chyba mozna dopatrywac sie boskiej interwencji. Ogolnie wszyscy byli w szoku i nie mysleli nawet juz o swieceniach. Chcieli wracac, bo co robic z autem w i ogole. Po chwili namyslu z naszej strony zaproponowalismy im, by tak latwo sie nie “poddawali”. Wszyscy sa przy zyciu, tak wiec tylko trzeba “posprzatac” auto, a reszta moze jechac z nami do Mananjary. W toyocie mielismy komplet, a na “pace” jeszcze sporo miejsca. Pokonczyliśmy wszystkie sprawy z zandarmami i rozpoczela sie wspolna debata na temat ostatecznej decyzji. W trakcie rozmowy nadjechal i zatrzymal sie tir wiozacy wielka koparke. Jakby spadl z nieba. Zaraz ruszyly negocjacje i za niewielka sume wyciagnal naszego biednego “pezocika”. Po malym ogladzie i poradzie zandarma przymocowalismy za pomoca drewnianego kolka (no wlasnie ...) auto do naszej toyotki i odtransportowalismy je do bazy zandarmerii polozonej o 7 km od miejsca zdarzenia. W ten oto sposob, cala ekipa z Pegeota mogla udac sie wraz z nami w kierunku Mananjary. Dojechalismy poznym wieczorem, napotykajac jeszcze jeden wypadek po drodze (co za dzien!). Kamerowanie Na swiecenia zabralem ze soba Liva – jednego z ekipy, ktora formuje sie do radia w Ambatondrazaka. Chcialem aby pomogl mi przy filmowaniu swiecen. Dla urozmaicenia chcielismy zrobic troche malych “wywiadow”, coby ozywic te filmowa relacje o swieceniach. Miala to byc tez okazja do nawiazania kontaktow z grupa Radia Aina z Mananjary. Nagralem sporo materialu i mam nadzieje, ze nakrecone relacje z rodzina i znajomymi ozywia te historyczna relacje, bo po 20 latach pracy werbistow na Czerwonej Wyspie mamy ksiedza Malgasza SVD. To filmowanie to dla mnie powrot do video po dlugim czasie. Ciesze sie z tego, bo ostatnie, trudne zmagania jesli chodzi o radio, troche mnie zmeczyly. Mamy

sporo niewiadomych z powodu rożnych oczekiwan diecezji, które nie są jeszcze jasne i klarowne. To kolejne filmowanie to dla mnie chyba nowy podmuch na prace z obrazem. To wielka robota i na powrót czuję, że potrzeba do tego dobrej ekipy. Może coś w tym rusze, czekając na konkrety w radio. Świecenia wypadły dobrze. Nie było specjalnych atrakcji czy animacji przed. Tłumaczono się czasem egzaminów we wszystkich szkołach. Nie mniej trochę brakło „szumu”; o werbistach, bo jakie inne wydarzenie jak świecenia się do tego nadaje... W radio Aina spędziłem parę dni po świeceniach. Zajeżdżałem tam, by pomóc trochę jeśli chodzi o przegląd komputerów. Mieli ostatnio wypadek podczas cyklonu. Drzewo spadło na linki przytrzymujące anteny i szczyt anteny spadł na budynek radia. W ten sposób przez całą noc trochę napadalo im do głównego studia. Zabrakło trochę człowieka, który zatroskalby się i sprawdził, czy w radio wszystko ok. Trochę tam powalczyłem, bo mieli sporo usterek. Coś tam się udało, a niektóre rzeczy zabrałem do naprawy do stolicy. Z prawie całą ekipą, wraz z Liva, spotkaliśmy się w przytulnym resto i wymieniliśmy trochę poglądów, trosk i radości na temat pracy w radio. Mają trochę problemów, ale w porównaniu z nami to nic. Ich radio po prostu działa. Mają trochę małą ekipę, stąd wiele pracy, by utrzymać ustalony program. Już nie mówią jak ktoś jest chory lub w terenie. Walczą jednak dzielnie. U nas jeszcze o radio nie można mówić. Daleka droga, ale tu dziś nie będę się o tym rozwlekał. Tydzień w Mananjary. W kolejną niedzielę (12 lipca) były przewidziane prymicje Alberta w jego rodzinnej parafii. Z tego to powodu pozostałem w Mananjary i nie wracałem wraz z Louisem do naszej polnocnej parafii. Trochę odetchnałem podczas tygodnia, odwiedziłem parę osób, a większość czasu jak pisałem, spędziłem w Radio Aina. Jednego dnia Gallus poprosił mnie o odebranie gości Alberta z pewnej wioski, która zapadła mi w pamięci. Pewna część gości Alberta chciała zrobić sobie przejazd po kanale Pangalana. Wraz z Pawłem ruszyli w stronę jego dystryktu i z łódki podziwiali uroki regionu, gdyż po raz pierwszy gościli w tych stronach. Mieli wysiąść w wiosce Mahela i stamtąd przejść trochę na piechotę i pirogiem do znanej mi wioski Anilavinany. Dla tych co śledzą od dawna me relacje ta nazwa nie powinna brzmieć obco, bo to w tej wiosce odbywa się co roku święto rybaków, które kiedyś opisywałem. Położenie tej wioski też jest szczególne, gdyż stojąc na wąskim pasie ziemi, z jednej strony widzi się jezioro, a po obrocie o 180 stopni można podziwiać wzburzone fale oceanu. Oprócz tego klimat rybacki i liczne palmy robią specyficzny klimat. Z niemalymi emocjami ruszyłem do tej wioski. Po pierwsze jak ruszyłem Gallusowa starsza już Toyota Land Cruiser to się wystraszyłem, bo oprócz dziwnych dźwięków mocno ściągano kierownicę w prawo. Dawno nie jechałem tą drogą, a wiedziałem, że jest niełatwa bo ciągnie się wzdłuż oceanu. Dużo piachu i zdradliwych miejsc, w których trzeba używać napedu 4x4. Nie byłem pewny jak to działa w Gallusowej „limuzynie”. Zatrąkowałem i ruszyłem. Dodatkowa obawa był czas, bo wyjechałem już trochę późno. Jakbym napotkał na trudności, goście musieliby czekać w wiosce, a powoli zbliżał się wieczór. Jechałem sam, ale na szczęście nie było zbyt wielu niespodzianek. O ile karawan Pawła po asfalcie nie wzbudzał zaufania, to jak wjechał w błota i piachy nie było problemu. Napęd 4x4 działał bez zarzutu. To w tych warunkach to auto czuło się najlepiej i porykiwało wesoło, pokonując te góry piachu. Pamiętałem jedno miejsce gdzie często ocean wpływa, a wiatr nanosi góry piachu i to tam spodziewałem się trudności. Jednak obyło się bez niespodzianek. Po godzinie ostrej jazdy dojechałem do Anilavinany, która powitała mnie spora grupa ludzi i dzieci. Oczywiście nieliczni tylko mnie pamiętali. Zapytałem czy goście już przybyli i zdziwiłem się, że nikogo jeszcze nie było. To ja byłem spóźniony i nie wiedziałem ile teraz będę czekał na nich. Nie myślałem długo i poszedłem do znanej rodziny. Tam powitali mnie z radością. Pamiętam ich, jak jeszcze byli jedną z kilku chrześcijańskich rodzin w tej wiosce, która niezbyt była przychylna do obecności misjonarzy. Dzisiaj sporo już się zmieniło. To dzięki animacji SVD i także częstej obecności biskupa na święcie rybaków (Św. Piotra i Pawła). Ihosy – To nazwa stolicy mieszkańców jednego z południowych regionów Madagaskaru. To tam udawałem się na 12 czerwca, dzień prymicji naszego nowo-wyswieconego Alberta. Muszę przyznać, że podczas nakreśniania materiałów podczas świecen, starałem się nawiązać kontakt z rodziną Alberta. No wiecie, tak w klimacie polskich prymicji i rodzin werbistowskich. Rodzice Alberta, jak i cała rodzinka byli trochę „wystraszeni”. No po prostu obco się czuli, bo to pierwszy raz byli w tamtych stronach wschodniego wybrzeża. A oni to z wyzyna południowych ... kawał drogi dla Malgaczy. No nie dla nas, werbistów, obywateli, a niektórzy mówią, że my to „powsinogi”. No ja tam nie będę poddawał tego komentarzom. Wielu z nas zna cenę za te „podrózowanie”; i trzeba co dzień regulować za to „rachunek”; ciąg dalszy listu tutaj